Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.

Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr za następne po **2** kr.; w dodatk po **3** kr. za następ. po **1½** kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

13. Marca 1856. | № 32. | Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

V.

Kilka tygodni minęło po tem zdarzeniu. Było to jakoś około środopościa, a stolica nie miała już o czem wieczorkami mówić. Bale, pikniki, reduty już się dawno skończyły, i tak ze wszech stron były obgadane, że się już nic o nich więcej powiedzieć niedało. Koncertów nie było, teatr upadał, żaden skoczek ani kuglarz nie przyjechał do Lwowa, o czem że to mówić po długich zimowych wieczorach?

Wreszcie pękła bomba, a głos jej rozległ się po całej stolicy.

Gustaw oświadczył się Jadwidze i został przyjętym. Odbyto nawet na stary sposób uroczystość zaręczyn z niemałem zgorszeniem wszystkich starych panien, i naznaczono na dzień ślubu przewodną niedzielę.

Jakim sposobem to się stało, jakiemi drogami szedł Gustaw do ręki Jadwigi, o tem nie będziemy się wcale rozwodzić, tem więcej, że już znamy dokładnie, jakiemi drogami zwykł Gustaw chodzić. Zresztą nie tylko Gustaw, ale każdy inny na jego miejscu nie mógłby innemi drogami chodzić, jak temi, które już do syta wszystkim są znane, a do których niczego więcej nie potrzeba, jak rękawiczek białych, biletów wizytowych, ekwipażu i w dodatku trochę francuszczyzny. Nie było tam żadnych przygód romantycznych, żadnych scen wyszukanych, była to lśniąca, szumna ale zimna proza, począwszy od pierwszej filiżanki herbaty aż do owego słówka, które się tylko w cztery oczy wypowiada.

Jadwiga obdarzona zdrowem, niezepsutem sercem pokochała całym ogniem swojej namiętnej duszy, i teraz dopiero poznała, że i na wielkim świecie można być zazdrośną. Teraz by pewnie nie przebaczyła Gustawowi podobnej przejazdki z panią Aurorą, i często nawet mu ją wymawiała. Gustaw umiał się zastosować do nowych swoich stosunków, a jeźli pani Aurora w procencie od pożyczonej mu sumki czasami jego ekwipażu zażądała, wyjeżdżał z nią za rogatki, dowodząc, że świeże powietrze bardzo korzystnie na jej cerę działa.

Najtrudniej było pogodzić się z Ofelią. Ale i tutaj czas, zręczność i siła rezygnacji wiele ułatwiły. Przez pierwsze dwa tygodnie była Ofelia prawie niewidzialną. Siedziała zamknięta w swoim pokoju i płakała, czytała, grała i marzyła. Połowę tego czasu przechorowała i przeleżała. Po dwóch tygodniach okazała się po raz pierwszy w salonie, gdy Gustaw już nadzwyczajne postępy był uczynił. Wszystko już było ułożone i uszykowane. Ofelia przyszła, gdy się już trzeci akt miał rozpoczynać. Była ona nadzwyczaj bladą, i wyglądała o dziesięć lat starszą. Na około ust wcisnęło się głębokie znamie smutku, po czole przebiegło kilka zmarszczków. W oczach tylko gorzało jak dawniej, lecz blask ten był więcej podobny do światła północnego, niżeli do ognia. Całą twarz jednak umilała jakaś słodycz niewysłowiona, właściwa wyższym, szlachetnym cierpieniom.

Ale Gustaw już nie miał tego wzroku, którym niegdyś na dnie jej serca spoczął; on widział w niej dzisiaj tylko dawną znajomą, i zdawało mu się, że wszelkie obowiązki znajomości względem niej wypełni, jeśli z nią kilka minut grzecznie rozmawiać będzie. Czem mu ona niegdyś była, i co sobie o niej marzył, wszystko to wyrzucił dzisiaj z swojej pamięci, jak wyrzucamy stary ubiór i do tego się dziwimy, jakim sposobem mógł się on nam kiedyś podobać!

Taką to odwagą z jednej strony, a bezprzykładną rezygnacją z drugiej strony mógł się Gustaw oswoić w nowem swojem położeniu i dalej prowadzić dramat życia, w którym aktorowie swe role pozmieniali. Ofiara Ofelii była tak zupełna, tak umiała pojąć położenie Jadwigi i Gustawa, że nigdy niedała im uczuć całej wagi swojej ofiary, przeciwnie starała się zmniejszyć ją do jakiejś małej grzeczności, do ustąpienia z potrzeby, które i tak koniecznie nastąpić musiało. Ale tylko Jadwiga poznała się na jej ofierze, Gustaw wziął to za konieczny rezultat rozsądku i trzeźwiejszej rozwagi.

Tym sposobem mógł się zawiązać ów stosunek, o którym przez cały post miała co mówić chciwa rozmowy stolica. Poufałość i przyjaźń między narzeczonemi rosła z każdym dniem, z każdym tygodniem, a gdyby w tej mierze aż do przewodnej niedzieli postępować miała, możeby już im i tonów zabrakło, jeśliby się na uczuciowe półtony melancholii romantycznej przerzucić nie chciano. Nie tylko na salonach widziano wszędzie Gustawa przy Jadwidze, ale nawet i gawiedź uliczna wskazywała palcem na ładny ekwipażek, w którym siedziała młoda i przystojna para.

Pan Alfred postarzał się przez te kilka tygodni o jakie dziesięć lub dwadzieścia lat, zgarbił się i skurczył. Przyręba nabył wexle jego i zaczaił się jak stary lis, aby dopatrzeć chwili, w której mógłby najlepiej z Wierzyniec skoczyć do pałacu. Najwięcej do tego zawieszenia broni zmusił go Edmund obietnicą, że jakoś to będzie, że z

z czasem może i Przyręba w pałacu rezydować, i Leoncia zostać może hrabiną. Wprawdzie nie bardzo przemawiała do serca Przyręby taka obietnica, ale wymowna małżonka umiała takim argumentem przemówić do jego przekonania, że biedny małżonek w końcu kapitulować musiał. Ale pan Alfred nie chciał dotąd ani słyszeć o tem, żeby Edmund z Przyrębianką się ożenił, i używał czasu wytchnienia, jakiego mu użyczył najpierwszy jego wierzyciel.

Oświadczenie Gustawa przyjął milczeniem, i żadnych mu przeszkód na drodze nie stawiał. Z jednej strony nęciły go zawsze owe bajeczne ośmkroćstotysięcy, które dla dłużników były skutecznym talizmanem, z drugiej strony przyczepił się do tego nieprzełamany upór ulubionej jedynaczki, która wypowiedziawszy raz swoją wolę, tupnęła nogą i na wszystko w świecie się zaklęła, że jeśli Gustawa jej wzbronią, to sobie co dziwnego zrobi. I zaraz dała małą próbkę swego postanowienia, bo dwa dni nic do ust nie wzięła, dostała spazmów i kurczów, a skłopotany ojciec, nie wiedząc co począć, rad nie rad musiał pychę zrzucić z serca, i pójść do Gustawa, aby po kilku miesiącach oddać mu *rewizytę*.

Najbiedniejszym z wszystkich był nasz Edmundek. Leoncię odebrała matka i ulokowała ją na pierwszem piętrze przy ulicy szerokiej, gdzie z całym arystokratycznym przyborem, na jaki tylko kiedy dorobkiewicze zdobyć się mogli, urządziła salony, aby część zimy w stolicy przepędzić. Wprawdzie wpadał ukradkiem do tych salonów nasz Edmundek, ale zastał tam zawsze tak liczne towarzystwo, tyle nieznanych, cybulastych ócz patrzyło na niego, tyle dymu z cygarów i zapachów kuchennych mieściło się w tej atmosferze, że kapryśny jego aniołeczek powoli skrzydełka pochował i wolał raczej przy pasztecie usiąść, niżeli po dymach bujać. Pani Przyrębina bowiem w tem widziała ton arystokratyczny, aby prowadzić, jak to mówią dom otwarty, bez względu na to, czy przez otwarte drzwi wlatują ptaki szlachetniejsze, czy wróble i dudki. A że w otwarty dom dorobkiewiczów najczęściej same dudki wlatują, więc na salonach pani Przyrębiny było ich spore stado, które tutaj wyborny żer dla siebie znalazło. Była to istna kawiarnia, pełna dymu i błota, a nie jeden gość przypomniał sobie dopiero wtedy o przedstawieniu się gospodyni, gdy już był zjadł kilka talerzyków wędliny i ze dwa cygara wypalił. Zrazu przykrą była wykwintnemu paniczowi ta nowa atmosfera, lecz gdy spojrzał w jasnoniebieskie oczka Leonci, tak mu się dobrze zrobiło, że nie tylko pełną piersią tej atmosfery zaczerpnął, ale z największą roskoszą suwał po brudnych i tłustych stolikach.

Jedynym kłopotem Gustawa były jego finanse. Jak na nieszczęście wypadło to jego oświadczenie w wielki post, a blisko dwa miesiące potrzeba było jeszcze płynąć do owego Eldorado, w którem obok czarnych Jadwigi oczek czekały go upragnione stotysięcy. Dwa miesiące życia starającego się kawalera, a starającego się nie sercem, ale ekwipażem, służbą i wystawnością. Cóż to za ogromna cyfra budżetu... Wglądnijmy w rachunki krawców i kupców, i przypatrzmy się wieczorkowi ochoczych garsonów. Nie mniej tam strzeliło korków, ile kul i granatów padło do zatoki Sebastopolskiej. Takie to życie kosztowało wiele Gustawa, a źródła wysychały coraz więcej. Już nie jeden weksel podpisano, nie jeden tysiączek wyemigrował z hebanowej szkatułki pani Aurory. Adolf co mógł pracą zarobić, wszystko oddawał w ręce szczęśliwszego brata, a jeszcze pragnął i łaknął Gustaw, jak ów suchotnik nienasycony. Wprawdzie miał w Trytonie wybornego ministra finansów, ale są chwile w życiu najszczęśliwszych monarchów, gdzie żaden minister poradzić nie umie.

Otoż w jednej z takich chwil kłopotliwych, sam sobie Gustaw poradził. Przypomniał sobie o starym kapitanie, a gorąca jego wyobraźnia widziała w ubogim dworku Sobkówki jakieś skarby zaklęte, do których tylko stosownie przemówić potrzeba, aby na świat wyszły i do jego kieszeni się dostały. Więc przemówił jak mógł do owych skarbów bajecznych, a że od nich był kluczyk w sercu starego kapitana, to trzeba było pierwej do tego serca zapukać. Napisał do kapitana list długi i sentymentalny, gdzie były i cytata pisarzy dawnych, jak to kapitan lubił, i nieco poezji sielankowej do krzemienistej gleby Sobkówki, i wszystkiego tam było po trosze, ale nie było owej rzewnej szczerości i prostoty, jaką się odznaczały listy jego, pisywane z zagranicy. Przedstawił tam w błyszczących barwach swoje szczęście i powodzenie, rozrządzał już na przód pysznym pałacem swego teścia, i idylicznie wspomniał o Sobkówce, że założy do niej drogę murowaną, a nawet nie byłby od tego, aby górę wskróś przeciąć, i dzwonek z pałacem tunelem połączyć. Mówił wiele o afektach pana Alfreda i Jadwigi, a przyszłość swoją widział w tak cudnych, złotych kolorach, że byłoby barbarzyństwem ze strony opiekuna, aby mu do tej rajskiej przyszłości nie chciał dopomódz. W czem zaś ta pomoc zależeć miała, tego nie wyraził Gustaw, bo jako prawdziwy dyplomata wiedział dobrze, że każden ważniejszy dokument nie powinien mieć w sobie wyrazów jasnych i pewnych. Wiersz o dobre i skuteczne rady, o błogosławieństwo, a nawet o modlitwę. Stary kapitan rozpłakał się nad tym listem, a nie mając w swojej samotności prócz Jakóba nikogo, przed kim by mógł swoje serce otworzyć, zawołał wiernego sługę, by choć z nim swoje cierpienia podzielić. Stary Jakób rozumiał dobrze, czem w takiej chwili był kapitanowi, toż usiadł uroczyście naprzeciw niego, a ktoby teraz na obu spojrzał, myślałby, że to dwaj najszczersi przyjaciele. Bo też takim istotnie był poczciwy Jakób.

Słuchając opowiadania o zamkach i pałacach, o drogach murowanych i tunelach, i o tych wszystkich tryumfach, jakie Gustaw w stolicy odbywał, kiwał głową stary sługa, bo to się jakoś z prostym jego rozumem pogodzić nie chciało. Wreszcie ozwał się w te słowa:

— Panie kapitanie, to wszystko mnie się nie podoba. Słyszałem ja raz podobne gadki o pewnym hiszpańskim rycerzu, co podobne tryumfy odbywał. Pan Gustaw jest to chwacki chłopak, i nie jednej szlachciance zapukałoby serduszko, gdyby ją za rączkę ścisnął. Ale hrabianki... hrabiowskie pałace... to wcale co innego. Znam ja podobną historję, bo na nią patrzałem własnemi oczami. Było to w czasie kampanii francuskiej, gdy książe J. powracał z szczątkami wojska. W naszej chorągwi mieliś-

my rannego porucznika. Musiano go zostawić w dobrach hrabiego N. Hrabianka Ludgarda tak się biednym maroderem zajęła, tak mu we wszystkiem dogadzała, że porucznik prędzej jak się spodziewał do zdrowia przyszedł. A że chorągiew nasza w krótce rozpuszczona została, toż ja wróciłem do tego porucznika, który mnie bardzo lubił i ofiarowałem mu swoje usługi. Ale przyszedłszy do pałacu cóż ja tam zastałem?... Chryste boże! Sodoma i Gomora, krzyk, przekleństwo, obraza boska... I cóż to się stało?... Oto panna Ludgarda upodobała sobie naszego porucznika i gwałtem za niego iść. Hrabia nie chciał słyszeć o tem. Widząc że trudno z ojcem, spakowała jednej nocy manatki i dalej w świat, rozumie się z porucznikiem. Ach cóż to były za pieszczoty, cóż to było za kochanie! Jedno bez drugiego żyć nie mogło. „Ludzio!" Miciu!" „Miciu!" „Ludzio!" były to jedyne słowa, które przez kilka miesięcy słyszałem. Mieszkaliśmy w Kaliszu, na przedmieściu, bardzo skromnie, bo nie było za co hulać. I takto trwało rok cały. Po roku poczęła się panna Ludgarda nudzić, mówiła często o ekwipażach w jakich jeżdżą jej siostry i o salonach ojcowskich w Warszawie, na których tyle dostojnych osób bywało. I tak jakoś żywo to sobie przypomniała, że pewnego poranka obudził się mój pan bez Ludzi. Natura ciągnie wilka do lasu i kwita. Ja na miejscu porucznika byłbym ją nakłął na drogę, a on nieborak w łeb sobie strzelił. Nie ma to jak swój ze swoim.

Stary kapitan słuchał z uwagą, co mu stary sługa prawił, lecz mu nic na to nieodpowiedział. Widział on wielką różnicę między Miciem a Gustawem, jakiejby wcale stary sługa ani obaczyć ani pojąć nie mógł. Wprawdzie cały list Gustawa nie bardzo mu się podobał, wszystkie jego plany i zamiary nie wychodziły jakoś z czystego źródła, ale miał on tę zasadę, aby nikomu w zamysłach nie przeszkadzać, jeśli te nie są wprost zbrodnią, tylko gruntują się na odmiennem pojmowaniu rzeczy. Zrozumiał także, czego Gustawowi najwięcej w jego położeniu potrzeba, bo to dość jasno z całego listu przeglądało. Zajrzawszy do owych zaklętych skarbów swoich, których suma nie przenosiła kilka tysiączków gorżko uzbieranego grosza, zabrał je do kalety, i aby się naocznie o stanie rzeczy przekonać i radą być pomocnym, wyruszył do Lwowa.

W tym samym czasie, kiedy roskołysany marzeniem o dawnych swoich latach kapitan do miasta dojeżdżał, toczyła się między Przyrębą a Janklem dość żywa rozmowa. Jedyna namiętność, jakiej się dzisiaj starozakonny oddawał, objawiła się w niepohamowanej żądzy zagarnienia pod swoje berło wszystkich propinacji całego świata. Miał on legiony agentów i powierników, jego osoba stawała nie raz w dziesięciorakich postaciach na licytacjach i liwerunkach, a gdy nadzorujący licytacją urzędnik do emulacji licytatorów zagrzewał, nie wiedział że wszyscy ci licytanci jedną stanowią istotę, i tylko ułożoną naprzód komedją odgrywają. Otóż w takim ferworze swoim był dzisiaj nasz uniwersalny propinator.

— Już to ja wam najlepiej radzę, panie Przyręba, mówił żyd, i wszystko będzie dobrze. Pan Edmund musi się z Leoncią ożenić. Stary pan hrabia rad nie rad przystanie na koniec. Człowiek przystanie na niejedno gdy niema co jeść. Dobra hrabiego tylko stoją propinacją. A gdyby można nabyć od kapitana Sobkówkę, i na tem krzemienisku, co to graniczy z gościńcem i łąkami hrabiego, wystawić karczmę, to ja za propinacją Wierzyniec dam trzy razy tyle, jak dzisiaj idzie. I grunte Wierzyniec by się tem połączyły. Propinacja hrabiego upadłaby, a onby nie miał wtedy co jeść. Wtedy byłby ptaszek pokorny i nie spiewałby jak dzisiaj. A co he?...

— Nie źle mówicie Jankiel, tylko to z kapitanem trudna rada.

— Chodźmy do komornika, trzeba mu co obiecać, choćby i grubo, a on to zrobi.

U Adolfa zastali starego kapitana, wypoczywającego po trudach podróży. Biedny staruszek odbył śród największych mrozów podróż trzydziesto-milową, a wszystko to dla poświęceń zgasłego przyjaciela i dla synów jego, których był opiekunem. Nawet ostatni grosz swój przywiózł z sobą, grosz uzbierany długoletnią pracą, odmówieniem sobie licznych wygód życia, i ten grosz niósł dzisiaj w ofierze uczuciom swego poczciwego serca.

Jankiel począł zaraz po zwykłych przywitaniach mówić o interesie, ale stary kapitan nie chciał o niczem wiedzieć.

— Co, chcecie abym wam sprzedał Sobkówkę? ten kawał ziemi, który mi ze wszystkich marzeń moich pozostał? A to co co! Dajcie mi pokój! Odbierając mi ten kawał ziemi, wzięlibyście z nią i grób mój, a jabym znowu długo musiał po świecie szukać miejsca na niego. Wam to żyć dzisiaj, wam, a mnie staremu to było już dawno umrzeć, bo miałbym może w grobie sen przyjemniejszy!...

Po takiej odpowiedzi nie było co mówić, a chociaż zapalony widokami swemi Przyręba, chciał starego kapitana przemódz, obiecując mu za Sobkówkę sumę bajeczną, nie mógł jednak nad starym weteranem odnieść zwycięztwa. Do tego powstrzymał go w szale Jankiel dość znacznem mrugnieniem, a gdy obaj na ulicę wyszli, rzekł do niego:

— Zostanie przy naszej ugodzie; ja dam więcej, ale na trzy lata. Do tego czasu spodziewam się, będziemy mieli oba Sobkówkę; pan Przyręba grunta, a propinator karczmę!

Pan Przyręba na to nic nie odpowiedział, bo coś w tej chwili w głowie liczył. Żyd spojrzał na niego, a w zielonych jego oczach zaświeciła jakaś myśl szatańska. Z gruzów dworka Sobkówki budował w duchu pyszną, zajezdną karczmę!...

C. d. n.

Z Hejnego.

Nasze panie, te to wiedzą,
Jak poetę uczcić godnie!
Wyprawiły mnie obiadek,
Widać, żem wyglądał głodnie.

Już to rosół był wyborny,
Na języku lipło wino,

*

O i kura co za boska!
A zając był ze słoniną.

Przy jedzeniu coś mówiły
O poezji. Gdym był syty,
Dziękowałem za tak wielkie,
Wyświadczone mi zaszczyty.

August Schultz.

Wspomnienie pośmiertne.

Dokończenie.

Na dobitkę spotkał Szultz w Brodnicy dawnych kolegów uniwersyteckich wrocławskich, kosmopolitycznych postępowców z zasady, dostatnich urzędników pruskich z przeznaczenia losu. To zestawienie stosunków, a osobliwie protekcyjna sympatja tych ostatnich, do żywego ubodła znającego się na sobie Szultza. Miano mu za złe, iż w Brodnicy, na jednym z wieczorów, danych przez krajowców dla zapoznania się z przybyłemi gośćmi, podpułkownik Szultz wystąpił ze wszystkiemi oznakami dawnej swej zasługi i stopnia. Był to ostatni wybuch niespopielonej jeszcze wypadkami tej impozycji na zewnątrz, której w pierwszych momentach upokarzającej sytuacji Szultz pozbyć się raptem nie był w stanie. Następnie już go podobnie udekorowanym nikt więcej nie widział.

Tymczasem potrzeba było coś postanowić w przedsięwzięciu drogi na przyszłość. Francja żądała mieć u siebie (jak twierdzono) te niespożyte szczątki tylu bojów, ofiar, wysileń i walk chwalebnych. Za przybyciem do Sztrasburga, Szultz otrzymał przeznaczenie do Zakładu w Besançon (Département du Doubs). Zastał on on tam już poprzednio przybyłych: Jana Lelewela, Michała Horaina, i pana Franciszka Starowolskiego, anielskiej duszy kolegę. Spólność długiej służby w korpusie inżynierów połączyła ich znowu w jedno towarzystwo tułacze, a jakkolwiek gorzka to była osłoda rzeczywistego ich stanowiska, zawsze jednakże była to osłoda.

Zakład w Besançon był w owym czasie najliczniejszy, bo przeszło 700 emigrantów obejmywał. Rozmaitość wieku, usposobień, odbytej służby, nawyknień, musiała tworzyć rozmaitość stosunków, związków, a nakoniec różnicę w pojmowaniu celu i dążności. Tam, gdzie czyn jest w stanie udowodnić doraźnie, na miejscu, głośno wyjawione zaprzeczenie o drugich, lub zręcznie ukrytą pretensją własną, łatwo jest sprawdzić wysokość zasługi każdego, ale na nieszczęście emigracja w zasadzie swojej była już skazaną z góry na amortyzacją. Starsi, doświadczeńsi, prędzej to spostrzegli; młodsi, gorętsi, niemogli, niechcieli być podejrzliwemi, a jeśli niemi być mogli, podejrzywali każdego ze swoich, a nigdy wypadków, ich wpływów, mimo historycznych przykładów własnych poprzedników. Emigracja zatem musiała się rosprządz, i chorobliwość, że tak powiem, chroniczna ją owładła. Lekarstwo nie było łatwem. Potrzeba pracy, przy ciekliwych zasobach od rodzin pozostałych w kraju, niebyła jeszcze tak naglącą, nadzieja formacji zbrojnej podtrzymywała ducha, a jeśli brakowało zajęcia ruchliwym i gorącym umysłom, urządzenie szkoły wojskowej zapobiegło chwilowemu zwątpieniu.

W nowo uformowanej szkole wojskowej podpułkownik Szultz wykładał teorją strategii, i licznie uczęszczających pozyskał słuchaczów. Rzeczy zaczęły iść porządniej. Wzajemna potrzeba pomocy sprowadzała wzajemną ufność, bo w wspólnej niedoli najtrudniej dobrze się poznać, a porozumieć się potem już łatwiej.

Ale na nieszczęście parcie zewnętrzne wypadków okolicznych zanadto było donośne, aby zostało bez wpływów na młodą pod ówczas emigracją. Opozycja polityczna we Francji łatwo ujęła nadzieją serca, którym już nadzieji zaczęło brakować. Teorje demokratyczne olśniły umysły, a jako teorje wprowadziły za sobą dogmatyczne dysputy. Wśród tych gorących, ale jeszcze niewykluczających rozpraw, Szultz z umysłem wprawnym, usposobieniem giętkiem, spłynąłby może wierzchem, a może i zaparłby był, zaklął nie tak groźną jeszcze w początkach burzę, gdyby wypadki z nad Renu i Padu, przez swoje tajemne affiljacje nieprzycisnęły Szultza do ostatecznego krańca jego rezerwy. Pokąd jeszcze rzecz się toczyła z francuzami, nie było trudności w namyśle, ależ ta druga gałęź tajemniczej sprawy niebardzo głęboko była ugruntowana w opinji człowieka, którego już piosneczką o Renie, za Ren wyprowadzić niemożna było, który po uniwersytecie w Wrocławiu przebył trzy krwawe lata doświadczeń w tak trudnych kolejach, jakiemi były przepełnione wojny turecka i polska.

Jednocześnie nowa burza powstawała na wschodzie. Mechmet-Ali, który w czasie zajęcia Egiptu przez francuzów, zaledwie małym oddziałem Albańczyków dowodził, odwagą, zręcznem postępowaniem, szczęśliwym bojem wzniósł się do zagrażającej Porcie potęgi. Liczne a szczęśliwe wyprawy, zręczne a umiarkowane przeprowadzenie reform na podstawie islamizmu oparte, posiadanie Arabii i miast, kolebkę i grób proroka obejmujących, okryło skronie Alego urokiem, jakiego dotąd żaden z lenników państwa ottomańskiego niedostąpił. Urok ten, uważany z początku jako reakcja fanatyczna, reformami Mahmuda II. wywołana, zaczynał w następstwie przybierać zatrważające rozmiary, i zagrażać powadze samowładztwa Sułtana. Wezwanie pomocy, przybycie floty rossyjskiej do kanału konstantynopolskiego (1833 r.) wylądowanie korpusu 15 tysięcy Rossjan pod Skutari, oburzyło Turków, zatrwożyło dyplomacją europejską, zdawało się, że zmiana dynastji na wschodzie i odrodzenie Turcyi pod wpływem Mechmeta Ali może być podobnem; rozumiano: że wschód, tak zręcznie dotąd usidlony, tak łechtliwie nad przepaścią ukołysany, musi się obudzić wstrząśnieniem, choćby to nawet spowodowało na chwilę zawikłanie ogólne, które już podówczas uważano za pożądańsze, jak napięta intrygami, bezwładna, niepewna, pozorna spokojność, uciążliwa całej interesowanej Europie.

W chwili tak brzemiennej, tak pełnej zamętu, jenerał Dembiński ofiarował swoje wojskowe usługi Baszy Egiptu. Półkownik Szultz, naciskany stosunkami, w które wejść musiał, a którym może w duszy hołdować nie mógł, schwycił z radością sposobność dobrowolnego ostracyzmu, i przy-

jał propozycją jenerała, towarzyszenia mu w tej podróży. Miał on przekonanie, iż w nowym tym zarodzie nadziei, jego usilne dążenia, jego tyloletne prace i studja, będą mogły otrzymać stosowniejsze dla jego celów zastosowania. Tymczasem pomimo zaręczeń, pomimo zobowiązań ajencji dyplomatycznej Wicekróla w Paryżu, projekt umieszczenia 200 oficerów w wojsku egipskiem nie doszedł do skutku. Wielki reformator wschodu miał szczuplejsze widoki nad te, które mu przypisywano. Jenerał Dembiński powrócił do Francji. Pułkownik Szultz pozostał wszakże w Egypcie. Sulejman Basza (jenerał Selves) któremu Egypt zawdzięcza i porządną organizacją wojska, i przeważny udział w świetnych zwycięztwach Jbrahima Baszy, poznał się na naszym Szultzu, umieszczenie zapewnił, i do pozostania w tym kraju zdecydował.

W jakim charakterze pułkownik Szultz pozostał w wojsku Egypskiem? trudno jest z dokładnością oznaczyć. Umieszczenie stałe wymagało zmiany wyznania, warunek, któremu lekkomyślnie poddać się nie mógł, ile że gwałtownej, zewnętrznemi okolicznościami zmuszającej nie ulegał konieczności. Obszerna jednakże jego wiedza otwierała mu pole do pożądanej działalności widoków. Kilkunastoletnie zamieszkanie Szultza w Egypcie nie da się kategorycznie opisać. Mówiono: iż miał sobie poruczonem ufortyfikowanie przejścia góry Taurus, a może wąwozów przedwstępnych, prowadzących do tej górzystej krainy. Jakkolwiek missja ta wątpliwą zdawała się wszystkim, którzy stosunek posiadłości Wicekróla w tych stronach dokładnie znać mogli, cieszono się ogólnie z tego zatrudnienia zdolności Szultza, bo znano jak zaszczytnie mógł się z tego wywiązać, posiadając tak ogromne zasoby wiadomości, i wprawę w robotach, tej gałęzi sztuki wojskowej dotyczących.

Cały okres czasu od 1834 do 1840 r. pomyślnościami, świetnemi zwycięztwy i nadzwyczajnem powodzeniem Mechmet Alego nacechowany, skończył się katastrofą pod Akrą, i ograniczeniem stanowczem stosunków i możebnych wymagań Wicekróla, którym nadspodziewane sprzyjanie losu, sprawiedliwego zakresu ani dopatrzeć ani ustanowić niepozwoliło. Pułkownik Szultz należał do obrony Akry, był to ostatni krok jego w zawodzie wojskowym.

Zarozumiałość turecka konmendanta fortecy, zawiść i przekora inżynierów włoskich, którzy w tej epoce zamętu wielkiemi byli zaszczyceni wpływami, nie pozwoliły pułkownikowi Szultzowi rozwinąć samoistnej działalności, do której jego talenta nadawały mu prawo. Dzień 3. listopada 1840 r. był dniem fatalnym w dziejach pracowitego samoistnienia Egiptu. Sprzymierzona flota Anglii, Austryi i Turcyi, po kilkogodzinnej kanonadzie zdobyła Akrę. Magazyn prochowy twierdzy, wysadzony w powietrze, obalił część muru opaski obronnej, a pułkownik Schultz z zgruchotanem ramieniem prawej ręki, dostał się do niewoli wraz z załogą, 1.500 ludzi wynoszącą. Pomyślny skutek nie uwieńczył wprawdzie ostatniej chwili zawodu Szultza, wyszedł on jednak z zasłużoną chwałą dzielnej obrony i zaszczytnego postępowania. Rozbierający ten okres pisarze zagraniczni, przyznają Szultzowi zasługę męztwa i niezaprzeczonej zdolności. Odtąd pułkownik Szultz zrażony niepowodzeniem i utratą zdrowia, oddał się prywatnemu życiu, z obojętnem wyrzeczeniem się nadziei w widokach, jakie był sobie zamierzył. Pracował on jeszcze, ale jak się zdaje w przedsiębierstwach prywatnych, trudniąc się poszukiwaniem pokładów kamiennego węgla dla parowców, przebiegajacych po Nilu i obszernych wybrzeżach Syryjskich.

Wypadki Akry były mi znane, gdym spotkał przypadkiem podróżnika, wracającego ze wschodu. Naturalnie pierwszem było mojem pytaniem: Co też robi nasz Szultz? i jak wygląda? Chodzi w fezie, utył i gra w koście z Turkami. Odpowiedź ta do żywego mnie ubodła, znając człowieka, przewidywałem bliski jego koniec. Schultz otyły, w mojem tłumaczeniu znamionował gaśnięcie ducha, którym się dotąd podtrzymywał w hazardownych kolejach swego żywota, a gra w kości z Turkami była w moich oczach ostatnim dowodem zobojętnienia na wszystko, co go otaczało. W dobrych wprawdzie czasach Schultz lubił grywać w karty, bo mu się zdawało, iż w tej rozrywce znajdował bądź wyższe kombinacje rachunku, bądź próbkę życzliwości losu; ale koście! niedołężnej gry w koście, używał chyba jako pogardliwe igrzysko, rzucone wbrew losom, przyszłości i nadziei. Odtąd wymijałem starannie przeczucie złej o nim nowiny, chociaż stara znajomość ciągnęła mnie zawsze za serce, aby coś o nim wiedzieć, a bodaj się w przeczuciu omylić. Nie długo potem wyczytałem w pismach czasowych wiadomość o jego zgonie. Umarł w Smyrnie w 58 roku wieku swego.

I z tego tak pięknego, tak pełnego prac, zasług, poświęceń żywota, cóż pozostało dla krewnych, przyjaciół i kraju? Oto samotny grób na obcej gdzieś za morzami ziemi.

I przybyła jeszcze jedna mogiła, do łańcucha naszych mogił, rozrzuconych po całym globie ziemskiem.

Listy z Krakowa.

IV.

Spóźniony nekrolog karnawału. Przyjemności postu. Otwarcie wystawy. Jej posag. Suchodolski i rezenzja. Mohorty. Łuszczkiewicz. Mirecki. Co w Dodatku z Stycznia i Lutego? Ważne wiadomości. Nowe dzieło. Z Wilna i z Warszawy. Uwagi o teatrze przerwane korespondentem z Krakowa. Czego on dowiódł?

Dawno już do was nie pisałem. Chcąc przecie nowinki moje prowadzić w toku jak je zebrałem, muszę zacząć od chwili na której stanąłem w ostatnim mym liście. Wybaczcie zatem jeżeli nie wszystko będzie świeże, a zwłaszcza jeżeli dłużej niż zwykle nudzić was będę.

O ś. p. karnawale tyle tylko powiem, że podobnie jak w innych miastach naszych, tak samo i w Krakowie nie huczał, nie błyszczał, lecz widokrąg jego był nader posępny, a jeżeli gdzie niegdzie z pomiędzy rozdartych chmur wesołość przejrzała, owionięta była dziwną jakąś, mroźną atmosferą, bodaj czy nie przymusem, gdy jakby dla zwyczaju tylko się ruszano. Dwa bale publiczne na ubogich wcale nie przetłoczone, jeden w tymże celu płatno-proszony w prywatnem mieszkaniu, niedzielne brudne reduty, kilka lub kilkanaście małych prywatnych zabaw: oto i dzieje sześciotygodniowych zapust,

po inne lata wiele świetniejszych. W ostatnich dniach, zwykle jak przy końcu większa była ochota, lecz spóźnione te jej wybryki powstrzymała ponura północ popielcu, tak nieraz nie w porę rozbujałym nogom, rozmarzonym głowom i nerwom, a tak zawsze na zdrowie wychudłym kieszeniom się zjawiająca.

Z pierwszym jej dźwiękiem zamilkły fortepiany i wszystkie instrumenta; zatrzeszczały natomiast chrapliwe głosy suchych grzechotek a nie długo potem już głucho po ulicach; gdzie niegdzie w ciemności przesuwały się tylko pojedyńcze postacie lub liczniejsze kupki pozakapturzanych tancerzy i tancerek, spieszących do domu, aby wypocząć po pracy, aby wstać rano nazajutrz, popiołem głowy posypać.

Niewiem czy post bywa gdzieindziej tak nabożnie spędzany jak w naszym Krakowie. Mnoga ilość kościołów, budujące i uczące kazania wybranych mówców gromadzą na pasje i modły wszelkie warstwy naszej ludności. Jedyne też to miejsce w którem się one razem spotykają, tak wszedzie porozdzielane, na koterje małe dość licznie porozdrabiane. I post ma swoje zabawy, piękniejszy bywa ich cel, szkoda tylko że częściej zabawa lub moda do niego prowadzą. Loterje, teatr amatorski, koncerta na dochód biednych nastręczają znowu sposobność pokazania toalety, zgromadzenia się razem, a czego wynikiem prócz paczki guldenów dla ubogich i rozrywka dla dobroczyńców; zostają bowiem zawsze ploteczki i obgadanki tak starannie pielęgnowane w naszym Krakowie, jakby się obawiano o zatracenie sławy jego z tej strony, tak wreszcie mile skracające długie jeszcze, przedwiośniane wieczory.

Nie samemi przecież plotkami zajmuje się obecnie miasto nasze. Otworzona wystawa obrazów z dniem 9go Lutego jakby na osłodzenie tygodni postowych tym, których nabożeństwa nie tak zajmują, rozbudziła powszechny interes. Miłem jest spostrzeżenie że zajęcie to udzieliło się wszystkim, że sale wystawy codzień zapełnione w godzinach przeznaczonych, że gdzie się obrócić wszędzie toczą się rozprawy nad tym lub owym obrazem. Daje to pomyślną na przyszłość wróżbę; przykro było nieraz zauważać jaka obojętność panowała dla sztuki, jak mało kto wiedział czy istnieją w Krakowie malarze, a tem bardziej czem który z nich się zajmuje. O odleglejszych artystach i ich pracach tu już nie mówić. Pod tym więc względem Tow. P. S. P. dopięło celu, pod względem materjalnym zapewnione także jego istnienie, bo akcij codzień się więcej rozchodzi we wszystkie zakątki monarchii. Szkoda tylko że w królestwie nie mogą one być puszczane; w dwójnasób powiększywszy wtedy swe siły żywotne, mogłoby obszerniejsze pole swym działaniom zakreślić.

Z początku tak były słabe nadzieje tegorocznej wystawy, tak mało nadesłano obrazów, że z trwogą odroczono termin ostateczny otwarcia. Tymczasem codzień teraz przybywają ze wszystkich stron obrazy olejne, akwarele, rzeźby bądź polskich bądź obcych artystów. Szczególnie pocieszającą rzeczą że dużo między niemi znakomitości, nad któremi się znawcy unoszą. Dotąd jest stokilkudziesiąt sztuk, a spodziewają się jeszcze świeżych. Nie zapuszczając się w szczegółowe ocenienie, wyliczę wam główniejsze, aby dać wyobrażenie jaka jest nasza druga dopiero wystawa.

Z polskich malarzy, liczbą nadesłanych obrazów, wybornym pędzlem, różnorakością wreszcie przedmiotu oddają pierwszeństwo E. *Boratyńskiemu*, członkowi akademij sztuk pięknych we Florencji. Przysłał on trzy portrety, pięć krajobrazów, kopią Madonny Rafaela, wyobrażenie Rebeki przy studni, tudzież ogromem kompozycji uderzającą szkicę Ugolina, jako ustęp z Boskiej komedii, oraz cztery mniejsze akwarelle.

Moraczyński z Wilna zrobił dwa pełne życia i prawdy portrety: Jundziłła i Mazepy.

Dembowski, krakowianin przekonał o korzyściach, za granicą odniesionych, w czterech pejzażach, w których postęp i rozwój talentu widoczny.

Tepa podniósł akwarellę do siły farb olejnych w prześlicznym obrazku trojga małych dzieci. Walczy on o pierwszeństwo z Kaniewskim, który w innych portretach wydobył tyle naturalności, że o złudzenie nie trudno.

Simler z Warszawy między portretami które nadesłał, najwięcej wykończył portret Tripplina. Przedstawił także Deotymę improwizującą: poetka okryta szumną draperją, oparta o filar marmurowy, wzniosła oczy pod chmury niby szukając natchnienia. U stóp jej klęczące genjusze spiesznie spisują jej słowa.

Lesser także z Warszawy na ogromnem płótnie przedstawił Wład. Hermana, oddającego miecz młodemu Bolesławowi III. Zarzucają obrazowi temu liczne anachronizmy.

Kostrzewski, Szermentowski, Lipski, Łęcki, Gerzon z Warszawy, Kamieńska, Zakrzewska z Drezna, Kaplinski z Paryża dopełniają liczbę imion polskich z zakraju.

Z obcych nadesłali równie licznie: Piotr i Gustaw Müller, Schmelzen, Hahn, Walter, Schönherr, Stuckenberg, Hammer, Seidl, Wichmann z Drezna, Rhorr (Bolesław II. i śty Stanisław) z Düsseldorfu, Mejerheim, Baumgartner, Schmidt, Jaeckel z Berlina, Werner, Swoboda z Wiednia, Winterhalter z Paryża i. w. i.

Z krakowskich malarzy prócz Strzegockiego o którym wam ostatnim razem donosiłem, dał A. Płonczyński znane już dawniej części katedry Wawelskiej; Gorczyński kilka widoków (między niemi futor i monaster Mohorta); Świerzyński Chrystusa w ogrojcu i wnętrze pokoju; młody Grabowski dwa typowe portrety wieśniaków z naszej okolicy, Bizański wreszcie nie przestając pracować pomimo późnego wieku, trzy portrety olejne.

Otóż i wszystko co na tegorocznej wystawie posiadamy. Prawda, nie przepełniona liczbą sztuk nadesłanych, ale bogata w kilka prawdziwie pięknych i dobrych utworów. Zdziwi was zapewne że między imionami warszawskich malarzy nie spotkacie się z Januarym Suchodolskim. Nie on nie przysłał w tym roku, podobno w skutek nieporozumienia jakiegoś.

Na wystawie naszej wiele by może więcej bywało obrazów, gdyby malarze nie zrażeni byli późniejszą recenzją, która gdy o jednych za surowa o drugich za pobłażliwa, a często bardzo jednostronną bywa. Wreszcie wiadomą rzeczą iż na wystawie żaden obraz nie zyskuje, poustawiane przy sobie obrazy charakterów zupełnie różnych, kolorytu odmiennego, nieraz pod światłem najniekorzystniejszem, nie mogą nigdy sprawić tego wrażenia, które gdzie indziej umieszczone wywołać by mogły. Uczucie patrzącego nie jest w stanie tak się przerzucać z jednego w inne, w prost przeciwne, aby nie tracić nic z swej siły, a co więcej aby całą swą trzeźwość utrzymać.

Obraz Mohorta nadesłany p. Polowi przez Suchodolskiego jest to mały, ładny bardzo portrecik, z którego przecież trudno by poznać że to Mohort. Szkoda że tam nie ma nic z jego dziejami związanego, coby patrzącemu przypominało jaki ustęp z poematu, który każdy raz przeczytawszy, pokochać musiał. Trudność też to znaczna, bo nieznając miejscowości, nieznając Ukrainy, i kraju i ludzi tamtejszych, trudno malarzowi wcielić się myślą tak dalece, aby swój utwor właściwem owiać powietrzem. Wszelako tak ten portret, jak i poprzednie Gorczyńskiego i świeżo teraz nadesłane Brodowskiego próby z historii Mohorta, dowodzą jak chwycił za serce każdego ten utwor naszego poety.

Z pomiędzy krakowskich malarzy, których pendzla na tegorocznej wystawie nie widzimy, między innemi wspomnę o Łuszczkiewiczu i Mireckim, o którym wam w tym liście donieść obiecałem.

Pierwszy rzucił się na pole malarstwa historycznego, którego pierwsze próby (ścięcie Zborowskiego, zgromadzenie się akademii krakowskiej w XV. w.) dawniej oglądaliśmy a które się mniej podobały. Zawód też to bardzo trudny acz nader piękny i wielki a któremu się zbyt mało nowych malarzy poświęca. Tem więc chwalebniej, jeżeli kto niezrażony początkami mniej pomyślnemi, dąży w rozpoczętej drodze z wytrwałością. P. Łuszczkiewicz ma wiele znajomości historycznej, gromadził studja w tym przedmiocie, zarzucano mu tylko słabą stronę techniczną. Dzisiaj pracuje on nad obrazem „założenia banku miłosierdzia w Krakowie przez Skargę" który już na ukończeniu. Na tle znanej legendy starał się podnieść tę chwilę z życia wielkiego kaznodziei, której następstwa po dziś dzień dobroczynne skutki wywarły. Przed kościołem śtej Barbary widzimy na pierwszym planie tego kapłana, który słowami pociechy koi rozpacz kobiety, co spotkawszy go padła mu do nóg, opowiada okropną nę-

dzę swoją i o pomoc błaga. Obok niej tróje jej dzieci, tuż zaraz kupka mieszczan w których krzewi się ziarno szlachetnego przedsięwzięcia, rzucone słowami Skargi, które do nich zwrócił podając im myśl założenia lombardu. W głębi z ulic starego Krakowa snują się ludzie, do kościoła spieszący. Ugrupowanie bardzo szczęśliwe, koloryt żywy; o charakterach twarzy nic mówić nie wolno, bo obraz nieskończony, *a przed niewodem* i t d.

(C. d. n)

Rozmaitość.

* **Inseraty gazeciarskie w Anglii.** W Quarterle-Review znajduje się ciekawy artykuł w tym przedmiocie. Wyjmujemy z niego niektóre data, o kosztach jakie niektórzy ponosić muszą na same inseraty. Hallovay za ogłoszenie swoich przeczyszczających pigułek płaci rocznie 30.000 funt. szterlingów (300.000 złr.) Skład pańskich sukien Mozesa i Syna płaci 10.000 funtów szt. (100.000 złr.) Fakrykanci oliwy Makassarskiej płacą także 10.000 funtów szt. Doktor Jongh za inseraty o oliwie wielorybiej 10.000 funt. szt. Skład łóżek i materaców 6.000 funt. szt. (60.000 złr.) Krawiec Nuöll 4.500 funt. szt. (45.000 złr.) W czasie najgorętszym szału kolei żelaznych jedna gazeta Times brała przez jeden tydzień za inserata płacy 6.700 funt. srt. (67.000 złr.) A i teraz w średniem przecięciu bierze taż gazeta tygodniowo za inserata 3.000 funt. szter. (30.000 złr.).

* **Dziennikarstwo w Ameryce.** Miasto Nowy Jork licząc 850,000 mieszkańców, ma 120 gazet, które rozchodzą się rocznie w 80 miljonach egzemplarzy, podczas gdy w Londynie wychodzi tylko 94 gazet w 53 milionach egzemplarzy rocznie. Wedle dat statystycznych wychodziło r. 1850 w Stanach zjednoczonych 2526 gazet, w przeszło 526 milionach egzemplarzy; w Anglii zaś wychodzi 516 gazet w 90 milionach egzemplarzy. Miasto Cincinnati, które nie miało ani jednego jeszcze mieszkańca wtenczas, kiedy gazeta Times wychodzić poczęła, ma teraz codziennych gazet 16, a rocznie wychodzi 30 pism czasowych w ilości 9 milionów egzemplarzy. Jak widzimy, dziennikarstwo amerykańskie stoi daleko wyżej od angielskiego co do ilości przynajmniej; jak się rzeczy mają, co do ich jakości, to inne pytanie.

* **Podział pracy** jest przy dzisiejszych przedsiębiorstwach jednym z najgłówniejszych warunków, aby takowe pożądane korzyści odnieść mogły. Nawet rzemieślnicy chwytają się tego środka, a z tąd się często wydarza, że czeladnik prócz jednej cząstki swego rzemiosła, nic więcej nie umie. Tak skarżył się pewien czeladnik krawiecki, który powędrowawszy do Londynu, aby misterjów sztuki swojej się wyuczyć, iż przez kilka lat nic nie dostał do robienia jak same kołnierze. Nadaremnie zmieniał majstrów, fatalne kołnierze wszędzie go prześladowały. I wrócił biedny do domu jako wyćwiczony mistrz w sztuce robienia kołnierzów.

* **Żona niewolnica.** Młody lekarz jeden z Massachuset odbywał podróż po południowych częściach Zjednoczonych stanów, i czas jakiś zatrzymał się w jednem z miast należących do państwa Missisipi. Mieszkał tam w kawiarni której przewodniczyła młoda i ładna kobieta. To też wkrótce rozkochał się w niej na zabój, i chociaż jej płeć nie była zupełnie biała, nie uważał tego zupełnie za przeszkodę. Oświadczył się zatem, został przyjęty, a wesele odbyło się cicho, poczem wkrótce odjechała młoda i zakochana para do Wassyngtonu, gdzie młody lekarz dalej swemu zawodowi oddawać się zamyślał. Po niedługim czasie pewnego poranku wchodzi do jego kancelarji jakiś jegomość, mający powierzchowność prawdziwego gentlemana. Po przywitaniu zapytał go:

— Czy nie przywiozłeś pan tu z sobą kobietę z południowych prowincji?

— Mój panie! nierozumiem! odrzekł lekarz suchym i urażonym tonem.

— Jakto? mówił cudzoziemiec dalej. Czyż nie przywiozłeś tu pan żonę swoją z Missisipi.

— Zdaje mi się w istocie że się tam rodziła! odrzekł lekarz.

— A więc mój panie! ta jak ją pan nazywasz, żona pańska jest moja niewolnica, i jeżeli mi pan zaraz nie wypłacisz 900 dolarów, każę ją jutro ścigać jako niewolnicę która mi uciekła.

— Pańska niewolnica? zawołał lekarz z zadziwieniem; to być nie może.

— Mniejsza o to czy pan wierzysz czy nie, ale musisz pan się zdecydować, albo wydać moją niewolnicę, albo zapłacić mnie. Jeżeli do 24 godzin nie przyszlesz mi pan 900 dalarów do oberży, gdzie mieszkam, przeczytasz pan w gazetach list gończy za żoną pańską.

To rzekłszy powiedział swoje nazwisko i odszedł.

Lekarz który żonę swoją kochał nadzwyczajnie, wbiegł zaraz do niej.

— Najdroższa Heleno! rzekł do niej, czy byłaś niewolnicą, gdym się z tobą żenił?

— Byłam nią, odrzekła zarumieniona z łzawem okiem.

— Dla czego nie mówiłaś mi tego przed ślubem?

— Nie śmiałam, bałam się że nie zechcesz połączyć się z niewolnicą.

— Dobrze więc najdroższa, ja zapłacę te 900 dalarów, za taką żonę jak ty, to wcale nie wiele, rzekł mąż i przycisnął do ust jej pałającą główkę.

Za nim odszedł, pytał ją o nazwisko dawniejszego pana, i opisał jego całą powierzchowność.

— Tak jest, to on! zawołała w największem wzruszeniu. On jest więcej jak moim panem, on jest moim ojcem.

* **Gaz przy pogrzebach.** Wszystko na świecie postępuje, mianowicie wszystko staramy się ubrać, uróżować, ustroić. Śmierci nawet chcemy odebrać jej pozór przykry, sadząc się na przystrojenie trupa, jego ubioru, trumny i innych okazałości pogrzebowych. I tak teraz do pogrzebów zaczynają używać pochodni gazowych, które mają mieć bardzo piękne, jasne i czyste światło.

* **Panna Rachel.** Sławna artystka Rachel nie zrobiła w Ameryce wielkiego wrażenia. Amerykanom daleko się lepiej podobała spiewaczka Lagrange, i w ogóle przenoszą tam muzykę włoską nad Rasynowskie i Kornelowskie sztuki. Pannę Rachel uważano rzeczywiście jako primadonnę. i niektóre pisma nie zbyt pochwalnie odzywały się o tych, jak je nazwano Kornelowskich i Rasynowskich operach, przenosząc nad nie Verdego. Jeden z tamtejszych znawców powiedział między innemi, że przenosi jedno miserere w Trowatore nad całych Horacjuszów. To zestawienie śmieszne na pozór nie jest bez głębszego znaczenia. Bo cała deklamacja patetyczna francuska czyliż nie przypomina spiewnych recytatywów. Jednem słowem powiadają w Ameryce, że panna Rachel spiewa tragedje.

Nowiny lwowskie.

* W wielu kalendarzach dzień Zwiastowania N. P. Marji oznaczony jest w tym roku na 25go marca. Tymczasem wedle przepisów kościoła, gdy uroczystość ta przypadałaby w wielki tydzień lub wielkanocny, natenczas przenosi się na poniedziałek po przewodnej niedzieli. Z tego powodu dzień zwiastowania Najśw. Panny kościół katolicki obchodzi w tym roku dnia 31go marca.

* Zwracamy uwagę miłośników pamiątek historycznych na świeżo nadeszły obraz rzadkiej piękności Zygmunta III. króla polskiego, znajdujący się w zbiorze p. adwokata, Ludwika Komarnickiego, wielkiego miłośnika obrazów historycznych we Lwowie. Obraz ten pochodzi ze słynnej galerji obrazów ś. p. Franciszka hr. Potockiego, jest widocznie włoskiego pędzla, oryginał uderza wschodnim kolorytem i mówiącym wyrazem oczów. U spodu obrazu, w przepyszne staroświeckie rzeźbione złocone ramy oprawionego, jest napis: „Sigismundus III. Dei Gratia Poloniae Rex, Fundator et Singularis Protector Conventus Reformatorum Penes Plateam Senatorensem „Varsoviae Anno 1653 — 23 Maji".

* **Konkursa.** Posada Oficjała przy finansowej dyrekcji we Lwowie z pensją 600 złr. termin podania do 20 marca. Posada administratora w majątku religijnym w Starym Sączu z pensją 800 złr. i w majątku religijnym Muszyny z pensją 600 złr.; termin podania

do 10. kwietnia. Posada kancelisty przy urzędzie powiatowym w Wojniłowie z pensją 350 złr. termin podania do końca marca. Kilka posad na woźnych w okręgu finansowéj dyrekcyi w Krakowie z pensyą 250 złr. termin podania do końca marca. Posada aktuarjusza przy urzędzie powiatowym w Sądowej Wiszni z pensją 400 złr. termin podania do 31. marca.

Przyjechali od dnia 10. do 12. Marca do Lwowa.

Hr. Drohojewski Kaz. z Tomanowic. Hr. Drohojewski Józ. z Balic. Rylski Hen. z Pienia. Czermiński Jul. z Zarszyna. Jaruntowski Ant. z Jabłonki. Ostrowski Ign. z Doliny. Komarnicki Bol. z Jackowic. Jaworski Józ. z Kobyliniec. Grzybowski Wit. z Krakowa. Młocki Alf. z Łopatyna. Thullie Stan. z Żółkwi. Abancourt Ksaw. z Łowczy. Skrzyński Miecz. z Szelpak. Gumowski Wik. z Bereznicy. Wierzchowski Piotr z Zaszkowa. Bobowski Konst. z Przemyślan. Hr. Golejewski Korn. z Krzywcza. Brückmann Hen. z Przemyśla. Hr. Załuski Hier. z Iwonicza. Gołaszewski Wład. z Krakowa. Onyszkiewicz For. z Borupiona.

PP. Tatomir Leon z Skolego. Grochowalski Ant. z Tuczny. Bogdanowicz Józ. z Rekliniec. Wisłocki Alo. z Tarnopola. Sochocki Ant. z Chronowa. Kawecki Wik. z Beniowa. Hr. Karnicki Teod. z Warszawy. Smarzewski Wład. z Artasowa. Eminowicz Kaj. z Smerekowa. Jabłonowski Józ. z Rawy. Łączyński Hip. z Liska. Michalewski Ant. z Niedzielisk. Zawadzki Ign. z Huty. Szczepański Wład. z Wiszniowczyka. Łodyński Ign. z Sądowej Wiszni.

Wyjechali od dnia 10. do 12. Marca ze Lwowa.

PP. Pietrzycki Fel. do Brzeżan. Mosch Kar. do Winnik. Czermiński Lud. do Zarszyna. Weisenbach Zyg. do Drohobycza. Doliniański Wik. do Przemyśla.

PP. Marynowski Wen. do Tymowic. Manasterski Józ. do Wiednia. Jędrzejowicz Kaz. do Gródka. Gołębiowski Edw. do Brodów, Szmigielski Józ. do Sokołowa. Krzyżanowski Roman do Podhajec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	101 3/4	Pożyczka 5%	84
Hamburg za 100 tal. banco	74 5/8	Akcye banku	1061
Londyn za 1 funt szterl.,	10.5	Kolej północna	2920
Medyolan za 300 lirów	103	Obl. ind.	77 1/2
Paryż za 300 franków .	120 1/2	Nowa pożyczka z loteryą	110
Agio duk. ces.	6 3/8	Pożyczka narodowa . .	84 15/16

Dzisiejszy **Kurs Lwowski**		Gotówką				towarem		
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	47	złr.	4	kr	51
Dukat cesarski	„	4	„	48	„	4	„	52
Półimperyał zł. rosyjski	„	8	„	17	„	8	„	23
Rubel papierowy	„	—	„	—	„	—	„	—
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	36	„	1	„	37
Talar pruski	„	1	„	30	„	1	„	32
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	10	„	1	„	11
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	86	„	—	„	87	„	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		76	„	—	„	77	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	—	„	84	„	—
Śrebro		—	„	—	„	—	„	—

Do sprzedania.

Realność w Stanisławowie pod l. 26.

w suchem i zdrowem miejscu przy ulicy Zabłotowskiej położona, niosąca rocznego czynszu 600 złr. m. k. i więcej, składająca się z dwóch domów na jednym dziedzińcu dobrze oparkanionym, z których-to domów jeden zawiera 8 pokoi, 2 kuchnie, spiżarnię i inne dogodności, jest wraz z należącemi do tej realności ogrodem warzywnym i owocowym, studnią, 3 stajniami, magazynem, drwalnią i dwiema piwnicami, pod łatwemi i korzystnemi dla każdego kupującego warunkami z wolnej ręki do sprzedania.

Bliższa wiadomość we Lwowie w księgarni Kallenbacha, albo na wsi pod adresą R. M. w Dobrowodach, poczta Manasterzyska. (G. 51. 5—6)

Podziękowanie dla dobrodzieja!

Nie mogę tego opuścić, abym nie oddał sprawiedliwości mężowi, od którego w ciężkiej i niebezpiecznej słabości nadludzkiej doznałem pomocy. Słabość nerkowa w ostatnich trzech miesiącach, połączona z omdlewaniami i boleściami w sercu, której bezwładność i ból w nogach towarzyszyły, już miała mię w grób wpędzić i dziesięcioro małoletnich dziatek razem z matką sierotami uczynić; lecz opatrzność czuwajaca nad losem dziatek moich inaczej rządziła, bo za jej sprawą moja biedna a przy tem liczna familia w największej rozpaczy widząc mnie ojca bez najmniejszej nadziei życia, ciężką chorobą złożonego, udaję się do Wgo pana doktora **Achta** w Brzeżanach i znachodzę w nim najlepszego z ludzi dobrodzieja dla siebie. Mąż bowiem ten swą gotowością w niesieniu mi ulgi, poświęceniem się na wszystko złe, w tak przykrej porze roku przy różnych powietrza odmianach, gdy mi częste wizyty w oddaleniu dwóch mil z ochotą i naturalnie przy tak licznej familii bezinteresownie robił, a szczególnie gruntownem rozpoznaniem mojej słabości i trafnem zastosowaniem medykamentów na rzeczoną słabość potrafił mię wyrwać z rąk śmierci i powrócić ojca stroskanej familii. Otóż przyszedłszy już za pomocą Boga i tego w naszej okolicy sławnego męża do zdrowia, a nie będąc w stanie jego poświęcenia się dla mnie inaczej chyba tylko słowy wynadgrodzić, śmiem publicznie przed całym światem temu szanownemu mężowi moje razem ze żoną i wolniej już oddychającą familią najczulsze złożyć dzięki, życząc mu oraz, aby go Bóg dla dobra ludzkości w jak najdłuższe lata w czerstwem zachować raczył zdrowiu.

Poruczyn dnia 5go marca 1856.

Józef Makohoński,

G. 78. 1—1 Paroch r. g. k.



Oberża przy cesarskim gościńcu wiedeńskim ze stajniami na 84 koni, parkanem murowanym obwiedziona, pół mili od Sądowej Wiśni, a dwie mil od Gródka stojąca, razem z prawem propinacji do niej dotyczącej, jest w kilkoletnią dzierzawę do wyarędowania. Bliższa wiadomość na gruncie w Dolhomościskach. (G. 73. 3—3.)

Do sprzedania

lub do wydzierzawienia.

Realność wiejska

2 1/2 mil ob Lwowa odległa, 120 korcy wysiewu obejmująca, wraz z nowym domem mieszkalnym, stajnią na 12 sztuk bydła, chliwkiem i szpiklerzem jest z wolnej ręki do wydzierzawienia, albo do sprzedania.

Bliższa wiadomość we Lwowie w księgarni Kallenbacha. (G. 52. 5—6)

Potrzebny jest nauczyciel

na wieś do dwóch chłopców, zdolny tylko uczyć 4tą klasę łacińską podług przepisów szkolnych, i zdać z temi publicznie z takowej examin. Za wynagrodzeniem rocznym 250 złr. monetą konw.

Zgłosić się proszę pod literą R. post. rest.

(G. 72. 3—3.) **Rzeszów.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**